

Autor: Radosław Marciniak
Opublikowane w: Koń Polski nr 9 - 2008

Na Preriach Montany

Potężny Yukon pokryty rudo-ziemistym pyłem ciężko przetacza się po nierównościach polnej drogi. Podróż z lotniska trwa już ponad trzy godziny. Asfalt „zwinięto” kilkanaście kilometrów wcześniej, więc kręta, górzysta i piaszczysta droga zabiera nam jeszcze ponad pół godziny. Około dwudziestej docieramy do Schively Dryhead Ranch. Ciemna noc, nikłe oświetlenie, dookoła biegają psy i konie. Kilka osób przedstawia się. Trudno powiązać niewidoczne twarze z imionami. Przenosimy bagaże do pokoi i idziemy na kolację. Mieszkam z Mathiew, sympatycznym, potężnym Amerykaninem.

Przy kolacji jest dwadzieścia osób, międzynarodowe towarzystwo. Jenniffer córka Iris – właścicielki rancza, odmawia modlitwę. Tak będzie przed każdym posiłkiem, chociaż większość przyjezdnych nie bierze w niej aktywnego udziału. Bierzymy się do jedzenia. Obok siedzi Cloude z Tahiti, dalej Anglicy Gordon i Mark. Następnie dwie dziewczyny Tina z Niemiec i Danny ze Szwajcarii. Reszty towarzystwa jeszcze nie poznałem. Po kolacji rozchodzimy się do domków. W pokoju zimno. Pobudka o szóstej. Prysznic w cudownie przegrzanej łazience i we wspaniale gorącej wodzie, ale do łazienki trzeba iść przez podwórko. Potem już tylko wszystkie ciuchy na siebie i marsz na śniadanie, które złożone z jajecznicy, plasterów boczku, placków z ciasta naleśnikowego z syropem klonowym i niesłodkiej kawy z mlekiem smakuje wybornie. Każdy sam zmywa po sobie.

W poszukiwaniu koni

Pierwszy dzień to przygotowania. Wyruszmy na okoliczne wzgórza, aby spędzić do zagród konie, które potem popędzimy na zimowe pastwiska do Wyoming. Po południu zabierzemy się za krowy. Po odprawie pobieramy sprzęt: juki, ostrogi, wodę. Dostaję przydział na Quanto – konia nieco większych rozmiarów z wielką latarnią. Przynajmniej będzie go łatwo rozpoznać. Czapraki, ogłowia, siodła, oczywiście wszystko w stylu western. W takim siodle będę siedzieć piąty raz. Popręg wiązę w krawat. Na szczęście pamiętam jak to się robi. Quanto próbuje maszerować w swoją stronę, ale ostatecznie reaguje na pomoce. Siedzi mi się niezbyt wygodnie, siodło jest bardzo szerokie. Próbuję kłusować. Koń idzie posłusznie, ja jednak latam po siodle, jak diabeł po piekle. Spokojnie, rozluźniam się, działam. I Quanto to chyba poczuł, bo idzie wolniej, bardziej elastycznie, taki kłus nazywa się western jog.

Wyruszamy w czternaście koni. Mój wałach jest ambitny, chętnie maszeruje i próbuje wyprzedzać. Nieźle, będzie się dobrze jechało. Idziemy stępą, po pół godzinie wkrada się chłód. W moim moro, pomimo kapelusza, nie przypominam prawdziwego kowboja. Daleko na wzgórzach dostrzegamy konie. Prowadzi Taylor, piętnastoletnia córka Mike’a, szefa kowbojów. Dzielimy się na dwie grupy. Pościgową i blokującą. Jadę z blokującą pod komendą Danny, która pracuje na rancho od dwóch miesięcy. Po kolejnej godzinie marszu wąwozami i wzgórzami jesteśmy we właściwym miejscu, ale lekko spóźnieni. Z sąsiedniego wzgórza, z naszej prawej strony galopuje stado koni. Na oko czterdzieści sztuk. Za nimi, jak zwariowana, pędzi Taylor. Jedzie w pełnym dosiadzie, nieustannie popędzając konia, nie zważając na żadne nierówności. Jest sama, jej grupa widać nie wytrzymała tempa.

Danny rusza galopem. Musimy przeciąć stado drogę i „wepchnąć” konie w bramę ogrodzenia. Jeśli nas miną będziemy je ganiać kolejne pół dnia. Ruszam i ja. Lubię szybkie galopy, ale w tym siodle nie jadę zbyt pewnie. No i pierwszy raz galopuję na Quanto. Z prawej wyprzedza mnie Cloude, z lewej Mathiew. Do diabła z obawami. Przykładam ostrogi i równam do poprzedzających. Zdażyliśmy. Zamykamy stado z trzech stron i wpędzamy za ogrodzenie. Taylor „łapie” dwa samotnie włóczące się konie i dołącza do reszty stada. Znowu

galopujemy. Za Taylor jednak trudno nadążyć. Grunt jest kamienisty. Miejscami większe głazy, a my gnamy po bezdrożach tempem ponad sześćset. Z tyłu ktoś krzyczy, aby się zatrzymać. Nina z Irlandii leży. Nic się na szczęście nie stało. Ruszamy dalej, ale Taylor z końmi jest już w koralu na rancho, więc galopujemy z Mathiew dla przyjemności. Konie zostawiamy przywiązane do ogrodzenia, osiodłane, z wędzidłami w pyskach, ale z popuszczonymi popręgami i idziemy na lunch.

Zaraz potem podciągamy popręgi i w drogę. Jest ciepłej. Jenniffer chce abyśmy ze wszystkich okolicznych wzgórz zebrali krowy i zapędzili je do zagród na rancho.

Wybieram pasące się nieco dalej stadko pięciu krów i samotnie ruszam do niego galopem. Bez większych problemów osaczam je i zyzgając kłusem zapędzam do bramy w ogrodzeniu. To miejsce zbiórki. Wybieram kolejne wzgórze. Mam tam oddzielnie stojące trzy sztuki i stado sześciu krów. Łączę trzy sztuki w stadko, ale krowy nie chcą współpracować i nie udaje mi się ich dołączyć do stojącej szóstki. Odbiegają w przeciwną stronę. Quanto zna jednak swoją robotę. Wykonuje rozkaz do galopu i nie muszę nim kierować, samodzielnie zatacza łuki o właściwym promieniu. Muszę tylko pilnować abyśmy zajmowali się wszystkimi trzema krowami. Z trudnością, ale zapędzam je do bramy. Dalej już w kilka osób pędzimy całe stadko do zagród. Po trzech godzinach od wyjazdu zdejmujemy siodła, a konie puszczaamy na wybieg.

Podłączam baterię aparatu i biorę się do pisania. Kolacja o dziewiętnastej, więc jest trochę czasu. Po kolacji chwila przy ognisku i rozchodzimy się. Tu nie śpiewa się piosenek, po prostu krótkie rozmowy i plan następnego dnia. W moim łóżku chyba lód wytwarzano, ale po jakimś czasie rozgrzewam się i zasypiam.

Dzień z krowami

Następnego dnia znowu siodłam Quanto, będą na nim jeździł już do końca pobytu. To dobrze, jest bardzo pracowity i okaże się bardzo wytrzymały. Ruszamy po ósmej. Od razu jesteśmy podzieleni na dwie grupy. Jestem w ósemce Jennifer. Wlecemy się noga za nogą przez trzy godziny, aby dojść do odległych wzgórz. Tam jemy lunch i rozdzielamy się na dwie czwórki. Jennifer, Cloude, Danny i ja skręcamy w prawo. Mamy zabrać wszystkie krowy, jakie znajdziemy na naszej drodze. Droga jest oczywiście rzeczą umowną. Włóczy się po wzgórzach. Dziewczyny gdzieś znikają, a ja samotnie jadę na kolejne wzgórze. Stoi tam kilka krów. Wspinam się wyżej i widzę ich coraz więcej. Muszę obrać jakiś kierunek. Nie mogę ich spychać w dół, bo jestem sam i nie dam rady zebrać rozsypanego na przestrzeni kilometra stada. Pędzę więc wszystkie przed sobą, sprawdzając, czy coś nie zostaje i liczę na to, że krowy pójda grzbietem wzgórza zamiast w dół. Częściowo to się udaje, ale stadko z kolejnego pagórka rusza ciężkim galopem i zabiera część uzbieranych krów. Na szczęście obrały odpowiedni kierunek. Zostaje mi około czterdziestu sztuk. Dziewczyny nadal się nie odnalazły. Galopuję kamienistym wzgórzem zjeżdżając w dół i spychając stadko przed sobą. Strumyk i, o dziwo, bagienko. Krowy to omijają, ja również. Zostawiam stadko z Cloudem i wracam po drugie. Nie udaje mi się go zabrać w to samo miejsce, ale „popycham” je w dolinę gdzie i tak wszystkie nasze krowy mają ustalone spotkanie.

Jennifer i Danny znajdują się ze swoimi stadkami. Cały inwentarz sprowadzamy na dół. Uzbieraliśmy we czwórkę blisko trzysta pięćdziesiąt sztuk. Teraz posłusznie idą razem, we właściwą stronę. Odczuwam coraz większe zmęczenie nóg. Quanto też się potyka. Wielokrotnie ochoczo galopował po kamienistych wzgórzach i to zarówno w dół jak i pod górę. Wielkie stadko idzie z naszą niewielką ingerencją. Co pewien czas zauważamy pojedyncze sztuki i dołączamy je do reszty. Po dwóch godzinach marszu dochodzimy do punktu zbornego z drugą grupą. Mają około sto pięćdziesiąt sztuk. Otwieramy bramy i blisko pięćset sztuk bydła, prowadzone przez osiem osób, wlewa się szeroką rzeką na drogę do farmy wznosząc przy okazji tumany kurzu. Pył skrzypi nam w ustach. Jeszcze godzina i jesteśmy na miejscu. Bydło przechodzi przez wrota. Schodząc z konia żartuję, że pół dnia

siedzieć w siodle to jeszcze nic, ale potem zejść z niego to jest sztuka. Faktycznie w trakcie tych ośmiu godzin schodziłem z konia tylko dwukrotnie. Na lunch i aby je poprawić. Ledwo się ruszam. Odprowadzam Quanto na wybieg i odnoszę sprzęt.

Galop w stadzie koni

Kolejny dzień zaczyna się tak jak poprzedni. Z rozmów przy śniadaniu dowiaduję się, że Steve i Mike to bracia, a Larry to ich ojciec, a więc to Bonanza team, który przyjeżdża na spędy w Dryhead od piętnastu lat. Wiem już, że nie będzie obozów pod gołym niebem. Noce są zbyt zimne. Będziemy pędzić konie i na noc wracać samochodami na rancho. Powoli zbieramy się. Jak zwykle odbywa się poranne łapanie koni. Robi to Mike-szef z Clintem, czyli obaj zawodowi kowboje. Konie są wprowadzane do wąskiej zagrody tak, aby jeden człowiek mógł im zastąpić drogę. Druga osoba wybiera konkretną sztukę, próbuje podejść do niej i założyć jej ogłowie. Obserwując te podchody mam wrażenie, że konie błyskawicznie orientują się na którego właśnie zaczyna się polowanie. Wówczas delikwent umyka w ciasny kąt i próbuje pod osłoną kumpli przemknąć na drugą stronę zagrody. Mężczyźni w zagrodzie pracują powoli. Nie wykonują gwałtownych ruchów i nie krzyczą. Unoszą wysoko ręce, śmiało blokując zwierzętom drogę. Konie przepychają się między sobą, zdarzają się kopniaki, ale od ludzi trzymają się możliwie daleko i nie wykazują wobec nich żadnej agresji. Złapanie piętnastu koni trwa około pół godziny.

Siodłamy i wsiadamy. Stado również wychodzi z zagród i lekko popędzane rusza kłusem. Wychodzimy na wzgórze. Oddzielamy kulejącego wałacha i zostawiamy go na ranczo. Galopem dołączamy do stada. Konie luzem kłusują i próbują się rozbiegać. Około sześćdziesięciu sztuk obstawionych przez piętnastu jeźdźców. Wyjeżdżamy na szeroką prerię. Wypoczęte stado rusza galopem, my za nim i po bokach, starając się utrzymać właściwy kierunek i całość tabunu. Kilka koni oddala się łukiem w prawo. Obok mnie jest Clint, chyba najlepszy tutaj jeździec. Pracuje na farmie i ujeżdża konie. Ruszamy razem, starając się wyprzedzić konie po zewnętrznej i zepchnąć je do stada. Zajeżdżamy drogę tej czwórce i konie zmieniają kierunek na równoległy do stada. Przed nami dolinka z rowem na dnie. Lekko zwalням Quanto i pozwalam mu wybrać drogę, sam pilnuję swojej równowagi. Prawie nie zauważyłem, kiedy przemknęliśmy po dnie i już pędzimy pod górę. Konie luzem nie wyprzedziły nas, spychamy je do stada. Unikają kontaktu fizycznego i zmieniają kierunek, ale jeden jest uparty. Galopujemy razem przez kilkanaście metrów i napieram na niego ciałem Quanto, bez rezultatu. Boję się ostrzej skrócić. W końcu uderzam krnąbrnego końcówkami wodzy. Trafiony w łopatkę gwałtownie odskakuje i posłusznie dołącza do stada. Zwalняем. Galopu było około dwa i pół kilometra, konie pod siodłem są spocone. Mike-szef podjeżdża i krzyczy „good work” unosząc przy tym kciuk do góry. Pewnie widział rów i zajście z opornym koniem.

Stado kłusuje, a my z nim. Przesuwam zawieszony na ramieniu aparat, aby zrobić kolejne zdjęcia, gdy znów ruszamy do galopu. Odjeżdżam lekko na zewnątrz i fotografuję w galopie. Kawalek jest w miarę równy i nic złego się nie dzieje, poza tym, że znowu zwiewa mi kapelusz. Na szczęście jest „na sznurku”. Niektórzy nie mają sznureczków i wracają po nakrycia głowy. W końcu na dobre zwalняем do kłusa, a potem do stępa. Minęło pięćdziesiąt minut od wyjazdu z rancho. Docieramy do pierwszej bramy w ogrodzeniu, chwilowo okupowanej przez krowy, które zmieszały się z końmi. Rozdzielamy stada, co o dziwo idzie bardzo łatwo. Uspokajamy konie. Clint wybiera sobie ze stada nowego wierzchowca i łapie go nie puszczając poprzedniego. Delikatnie krok po kroku przekłada z konia na konia siodło i ogłowie.

Teraz stępujemy między ogrodzeniami, więc konie nie rozbiegają się. Przed stadem podąża sześciu jeźdźców nie pozwalając się wyprzedzić koniom luzem. Pozostała grupa „popycha” stado od tyłu. Wszystko tylko w stępie i delikatnie. Konie mają się nauczyć iść

wolno. Przez kolejną bramę opuszczamy przewężenie. Ponownie ustawiamy się po bokach, no i nie wolno prowokować galopów. Jeśli konie próbują się rozejść to do stada zapędzamy je wyłącznie klusem. Po czterech godzinach robimy popas. Przed nami następna brama, a właściwie rurowy przejazd uniemożliwiający przejście zwierzętom.

Jennifer przywozi samochodem lunch. Wierzchowce z popuszczonymi popręgami spokojnie stoją przywiązane do słupków ogrodzenia. Stado przysypia zablokowane ze wszystkich stron. Robimy kanapki i jemy. Postój dobiega końca. Otwieramy bramę z boku szlaku i tamtędy przeprowadzamy konie. Ruszamy na przełaj prerią, ścinając zakręt drogi. Zwierzęta odpoczęły, więc klusują. Quanto robi się nieposłuszny, chce iść szybciej, kiedy próbuję go delikatnie zwolnić rzuca łbem i chodzi bokiem. Przytrzymuję go mocniej, denerwuje się, zaczyna grzebać kopytem, ale przestaje rzucać łbem. Przez jakiś czas to działa, a potem lekcję trzeba powtórzyć. Wchodzimy na szeroką, asfaltową jezdnię i tak stępujemy kolejne dwie godziny. Po szesnastej zapędzamy konie do zagród. Zdejmujemy siodła i pozostawiamy nasze wierzchowce w zagrodzie ze stadem. Sprzęt wrzucamy na samochody.

Kiedy szliśmy z końmi szosą, samochody jadące z przeciwka cierpliwie czekały, a gdy wyprzedzały nas te jadące za nami, to czyniły to bardzo powoli, przepychając się wśród koni. Żaden kierowca nie wykazywał zniecierpliwienia, ale i konie reagowały leniwie.

Przypominam sobie, że zbiornik na wodę dla koni był prawie pusty. Nikt się tym jednak nie przejął, może znajdą sobie gdzieś wodę. Mike-szef przed odjazdem zrzucił im siano z olbrzymiej przyczepy pickupa. Powrót samochodami trwa godzinę. Po drodze spotykamy duże stado krów pędzone przez jednego człowieka na ... quadzie. Już wcześniej widziałem samochody z quadami na skrzyniach, ale myślałem, że mają służyć do zabawy. Zdaje się jednak, że to my na koniach się bawimy.

Czas na odpoczynek. Mathiew opowiada mi o swoich koniach i zwierzętach. Ma trzy konie i cały zwierzynek złożony z kotów i psów. W sezonie letnim prowadzi pole namiotowe, na którym można też wynająć przyczepy campingowe. Ma ich kilkanaście. Sprawdzamy komórki. Nie ma tutaj zasięgu. Farma nie ma też telefonu stacjonarnego, ani radiostacji. Na telefon satelitarny ich nie stać. W razie wypadku pozostaje tylko samochód. Do najbliższej siedziby jest około półtorej godziny jazdy, kiedyś konno pokonywało się tę drogę w jeden dzień.

Zauważyłem, że wielu spośród nas wcale nie jeździ klusem w pełnym dosiadzie. Robią tak tylko w western jog. W szybkim galopie także większość przechodzi do półsiadu, szczególnie na nierównościach terenowych. Inną ciekawostką był napotkany koniowóz, ciągnięty przez pickupa, załadowany kilkoma końmi stojącymi ... luzem, za to w ogłowiach i siodłach. Ogólnie można stwierdzić, że konie nie są tu rozpieszczane. Koń, to narzędzie pracy i tylko wtedy jest coś warty, gdy może pracować, a do tego nie kosztuje zbyt dużo. Po kolacji zorganizowano dostawę wody. Dwa duże pickupy z wielkimi plastikowymi zbiornikami pojechały z wodą dla koni już po zmroku.

Na szlaku

Kolejny ranek. Ciepło, ładna pogoda, z nieba dobiega odgłos przelatującego odrzutowca, ale po chwili wzgórze Montany znów otula cisza. Czas zatrzymał się tutaj sto lat temu. Nawet samochody i maszyny rolnicze gdzieś się pochowały.

Matt klnie, na czym świat stoi. Buty go obcierają i chyba poważnie cierpi. Powoli wychodzą inni. Odgłosy ciężkich butów mieszają się z pobrzękiwaniem ostróg. Pakujemy się na samochody. Każdy ładuje swoje siodło, czapraki i ogłowie. Zasada prosta, zapomnisz – nie jedziesz, albo podróżujesz na oklep. Po ósmej wyruszamy. Powtarza się rytuał łapania koni. Sam próbuję złapać Quanto, który na razie pozostał w większej zagrodzie. Udaje mi się do niego podejść, ale gdy tylko zobaczył ogłowie w moim ręku odszedł spokojnym klusem. Drugi raz już nie pozwala mi się zbliżyć. Oczywiście zapędzony do korytarza zostaje złapany. Czyszcę, siodłam jak wszyscy i w drogę. Okazuje się, że konie jednak nie piły. Wczoraj

napelnili wanny, ale w innym miejscu, więc będziemy je poić dopiero po przejściu pół mili. Musimy zadbać, aby także nasze wierzchowce się napiły. Gdy zbliżamy się do wody powstaje zamieszanie. Idące dotąd stępa stado rusza klusem i ledwo udaje się nie dopuścić do galopu szczególnie, że nasze konie również trudno powstrzymać.

Pozwalam Quanto pić. Koni nie trzeba pilnować, teraz to one pilnują się wody. Przy wannach ścisk i przepychanki. Od lewej mam konia pod jeźdźcem, ale po prawej napierają na mnie konie luzem. Odchylam ostrogi na zewnątrz i od razu mam więcej miejsca. Czekamy, aby wszystkie konie wypłyły. Ustawiamy czoło kolumny zostawiając tylko trzy osoby na tyłach i ... dajemy się zaskoczyć. Stado wypiwszy wodę spokojnie zawraca. Trzy osoby nie są w stanie go zatrzymać. Omijamy stado galopem i blokujemy je nie szczędząc okrzyków i końcówek wodzy. Kolumna opanowana, po kilku minutach rusza we właściwą stronę. Noga za nogą wlecemy się piękną asfaltową jezdnią. Ruchu właściwie nie ma.

Schodzimy z asfaltu. Przekraczamy granicę stanu Wyoming. Konie zaczynają się rozpraszać. Roboty jest mnóstwo. Trzeba blokować je z przodu, nie dopuszczając do przechodzenia między prowadzącymi i trzeba uważać na boki, gdyż co raz jakiś cwaniak próbuje odejść i wyprzedzić kolumnę. Zauważamy dzikie mustangi na wzgórzu. Są tylko dwa, ale bacznie nas obserwują. Zwieramy szyk. Mike-szef, odjeżdża galopem w ich kierunku i przepędza je strzelając z bata. My zaś dalej prowadzimy nerwowe stado. W końcu droga opada i wjeżdżamy do kanionu. Jest wąsko, przez kilkaset metrów musimy iść jeden za drugim. „Świetne miejsce na indiańską zasadzkę” krzyczę do prowadzącego Steve’a. Śmieje się, mówiąc „faktycznie, a my mamy tylko noże przeciw indiańskim strzałom”. Po godzinie droga się wznosi. Po kolejnej pół godzinie wychodzimy na równinę. Stado zaczyna się rozpraszać i znów „tańczymy” wokół niego.

Z mojej lewej ucieka kasztanek, schodząc lekko w dół z drogi. Ruszam galopem. Staram się go wyprzedzić, ale jest stromo i nie mogę jechać szybciej. Kiedy już mi się to udaje, koń raptownie zatrzymuje się i zmienia kierunek, próbując ominąć mnie teraz z prawej strony. Tym razem blokuję go bez kłopotu i korzystam z trzymanyh w ręce końcówek wodzy. Od razu odechciewa mu się dalszej ucieczki i wraca do stada. Takie zabawy trafiają się co kilka minut. Dochodzimy do ogrodzenia. Przypieramy do niego stado, okrążając je z trzech pozostałych stron. Po chwili konie się uspokajają. Połowa jeźdźców zostaje w siodłach i nadal je otacza, a reszta odjeżdża na lunch, który przyjechał samochodem. Kończę jedzenie, podciągam popręg i luzuję jednego ze „strażników”. Konie stoją nieruchomo przysypiając, siedzimy w siodłach i również odpoczywamy. Kilka krzaków i trochę trawy zostało doszczętnie ogryzione. Wokół panuje cisza. Nawet owady nie brzęczą. Z siodła robię parę zdjęć i przy okazji zostaję autorem „zdjęcia spędu”, kiedy to „przyłapuję” Matta i jego konia na czynności jednoczesnego sikania.

Powoli dołączają do nas pozostałe osoby. Przepuszczamy stado przez bramę w ogrodzeniu i kontynuujemy marsz twardym kamienistym szlakiem. Jutro czeka nas na przemian asfalt i kurz bezdroży. Nie wszyscy wytrzymują. Nina przesiadła się do samochodu tuż przed lunchem. Po dwóch godzinach jesteśmy na miejscu. Konie trafiają do zagrody, a my do samochodów.

Po kolacji chwilę rozmawiamy o polo, a Mike-szef ogłasza „Hej ludzie! Jutro śniadanie o szóstej”, a Connie, jego gotująca nam żona, dopowiada na to z kuchni „o 6³⁰”. Słychać tylko krótkie „cholera” i trzaśnięcie drzwi za wychodzącym Mikiem. No i kto tu rządzi?

Przypomina mi się dzisiejszy powrót. Spokojnie mogłem obserwować krajobrazy. Niewyobrażalnie olbrzymie przestrzenie, pocięte kanionami i urozmaicone wzgórzami. Rzadkie trawy porastające czerwoną ziemię. Gdzieniedzie niskie zarośla. Pasące się dookoła krowy i konie, których są spore stada, i które jednocześnie nikną na olbrzymich przestrzeniach prerii. Wszystko to przecinają ogrodzenia z drutu kolczastego, dostrzegalne

jednak tylko z bliska. Jak okiem sięgnąć nie widać tu dzieł ludzkiej ręki, no może poza siecią wysokiego napięcia przecinającą dolinę. Horyzont ograniczają tylko położone kilkanaście kilometrów dalej wzgórza. Montana jest piękna i wciąż dzika.

Ostatni dzień

Poranek, jak co dzień. Wypuszczamy konie i popędzamy je. Kłusują, a my z nimi. Pierwsza część drogi wiedzie szosami. To wymusza zmianę organizacji grupy. Więcej osób na czole i z lewego boku kolumny po to, aby utrzymać konie na prawym pasie ruchu.

Pięć mil takiej drogi i wjeżdżamy w góry. Najpierw polną drogą, a potem zupełnym bezdrożem. Utrzymanie kolumny jest tu bardzo trudne. Co chwila ktoś rusza galopem, aby przywrócić rozsądek niesfornemu podopiecznemu. Trafia się i mnie. Lekko się zagapiłem i po mojej lewej galopuje kasztan z latarnią jak u Quanto. Ruszam za nim, muszę przyspieszyć i zawrócić, albo przeciąć mu drogę i zepchnąć do prawej strony do środka stada. Po stu metrach udaje mi się go zawrócić i zablokować do nadejścia stada. Przecinamy szosę. Teren jest pagórkowaty, dużo zjazdów, podjazdów i rowów. Często galopujemy razem ze stadem. W końcu natykamy się na rów właściwie nie do przebycia. Szukamy obejścia, co zajmuje nam sporo czasu. Odzywa się moja komórka. Wreszcie po kilku dniach informacje w postaci smsów napłynęły szerokim nurtem. Nie mam jednak czasu ich przeczytać, właśnie „przepychamy” stado przez płytszą część rowu. Korzystamy z tej naturalnej przeszkody, aby otoczyć konie na czas lunchu. Po pół godzinie ruszamy dalej. Mijają kolejne godziny marszu. Zabawa w ciuciubabkę z końmi nadal trwa. W końcu znowu wychodzimy na szosę i przecinamy tory kolejowe oraz duże skrzyżowanie w jakimś miasteczku. Nawet szeryf zatrzymał dla nas ruch. Mamy małe zamieszanie. Nie zdążyliśmy otworzyć przejścia w ogrodzeniu. Galopujemy z Mattem do bramy. Mathiew rzuca mi wodze swojego konia i czym prędzej otwiera przejście, ale konie już skreśliły w inną drogę. Wszyscy, co sił galopujemy asfaltem zamykając im tamto przejście. Stado zawraca i wchodzimy na most. Mijają kolejne minuty i docieramy do celu. Poimy rozpychające się konie, ale obywa się bez strat. Zdejmujemy siodła i ogłowia z naszych wierzchowców. Są wolne. Quanto po siedmiu godzinach pod siodłem, piątego dnia marszu, ma jeszcze siłę, aby odgalopować wesoło.

Sprzęt pakujemy na pick-upy i wracamy na farmę. Wieczorem, po kolacji, podsumowanie i oglądanie zdjęć zrobionych przez Jenniffer. Rano samochody odwożą nas do Billings, na lotnisko. Z pokładu samolotu jeszcze raz oglądam prerię oraz wzgórza Montany. To moje pożegnanie z Schively Dryhead Ranch i ludźmi, których tęsknota za końmi i kowbojskim życiem pcha do tej właściwie wciąż dzikiej krainy.